

STATYSTA

W dzisiejszym szybko zmieniającym się świecie nigdy nie wiesz co przyjdzie ci robić. Nie ma znaczenia twoje wykształcenie, doświadczenie zawodowe, umiejętności. Musisz brać co ci podsuwa los. I nie marudzić. Ja nie marudzę. Pokręte są drogi które doprowadziły mnie w to miejsce w którym jestem obecnie. Sam się zastanawiam ile w tym było przypadku, a ile mojej determinacji. Dla wygody przyjąłem, że przypadek wyzwolił we mnie ducha przedsiębiorczości. Po prostu znalazłem się kiedyś w odpowiednim czasie, w odpowiednim miejscu.

Ponad pięć lat temu, korporacja, w której pracowałem pozbyła się mnie. Po dziesięciu latach pracy. Byłem specjalistą w dziale finansowym. Pracowało nas tam dziesiątki. Koncern był duży, obroty stale rosły to i rosła liczba gryzipiórków koniecznych do przekładania papierów z jednej kupki na drugą.

Przyznaję, nie wyróżniałem się niczym szczególnym. Ani w pracy, ani w wyglądzie ani w zachowaniu. Cóż, takie moje nieszczęście, że jestem zupełnie przeciętny. Nawet w gronie najbardziej przeciętnych Polaków byłbym w grupie najbardziej przeciętnych. Tak już wyszło. Zawsze taki byłem. Czy to w szkole, czy to na studiach. Wykładowcy i nauczyciele mieli nawet trudność z zapamiętaniem mojego imienia i nazwiska. Jan Nowak. Czyż może być banalniej? Przyzwyczałem się do tego. Zawsze sobie powtarzałem, że na tym świecie oprócz liderów potrzeba również ludzi przeciętnych. Dla nich też znajdzie się kawałek miejsca.

Żonę poznałem na drugim roku studiów. Nie była jedną z tych obleganych przez wszystkich samców uniwersyteckich heroin. Studiowaliśmy na jednym roku, ale dopiero po dwóch latach zwróciłem na nią uwagę. Cóż, też się niczym nie wyróżniała. Stanowiliśmy razem tło dla całej tej barwnej masy studentek i studentów. Nikt nas nie zapraszał na imprezy, bo nikt nas nie zauważał.

Zosia okazała się bardzo miłą, przeciętną dziewczyną. To nas zbliżyło. No bo jak wyglądałby facet mogący służyć za wzorzec przeciętnego obywatela kraju przez którego środek płynie Wisła, z jakąś ponadprzeciętną urodą i ponadprzeciętnego intelektu kobietą. Śmiesznie?

Spacerując wieczorami po parkach oddawaliśmy się marzeniom. Przeciętnym. Chcieliśmy mieć własne mieszkanie, dwójkę dzieci i dobrą pracę. Byliśmy zgodni, że nasze dzieci nie będą nosić imion Sandra lub Ziemowit. Będą zwykłymi Marysiami lub Krzysiami.

Ślub wzięliśmy na czwartym roku. Skromny. Kilku kolegów i koleżanek najmniej nieprzeciętnych. Marysia urodziła się rok po otrzymaniu przez nas dyplomów ukończenia studiów. Dwa lata później urodził się Krzyś. Oboje pracowaliśmy na jakichś podrzędnych stanowiskach w korporacjach, które w całej swojej istocie były nieprzeciętnym zjawiskiem. Przynajmniej same tak uważały. I uważali tak menedżerowie tam pracujący. Nie zarabialiśmy dużo, żyliśmy skromnie. Najpierw w wynajmowanym mieszkaniu a potem we własnym, dwupokojowym, czterdziestometrowym. Najluźniej było w tym naszym mieszkanku po świętach Bożego Narodzenia. Jak usunęliśmy choinkę. Wtedy wydawało nam się, że nasza przestrzeń życiowa powiększa się dwukrotnie.

Najpierw pracę straciła Zosia. Redukcja etatów. Kryzys. Do redukcji szli zawsze w pierwszej kolejności ci przeciętni. Jej szef powiedział jej wręczając zwolnienie, że firma była zawsze zadowolona z jej pracy i żeby nie traktowała tego osobiście. Po prostu takie czasy. Nawet dostała jakąś ekstra odprawę. Na kilka miesięcy życia.

Jak wiecie, na tym świecie nieszczęścia lubią chodzić stadami. Mnie podziękowano dwa miesiące później. Redukcja etatów. Kryzys. Mój szef powiedział mi wręczając zwolnienie, że firma była zawsze zadowolona z mojej pracy i żeby nie traktował tego osobiście. Po prostu takie czasy. Dostałem ekstra odprawę.

Sytuacja zaczęła być groźna. No bo ile czasu można pojechać na dwóch odprawach. Zaczęliśmy szukać pracy. Wysyłaliśmy dziesiątki naszych CV tygodniowo. Bez odpowiedzi. No, bo obiektywnie rzecz biorąc nasze CV były przeciętne. Jakie mogły być, gdy my byliśmy przeciętni? Jeżeli otrzymywaliśmy jakieś odpowiedzi to przeważały w nich słowa "kryzys", "redukcje", "może kiedyś skorzystamy". „Kiedyś” nas nie interesowało. Rachunki trzeba było płacić teraz.

Oszczędzaliśmy na wszystkim, ale przez to stawaliśmy się jeszcze bardziej przeciętni. Odrzuciliśmy myśli o tym, żeby pracować w zawodzie. Szukaliśmy jakiegokolwiek pracy, lecz nawet na posadę sprzątaczkki byliśmy za przeciętni.

Przeczytałem pewnego dnia ogłoszenie w gazecie, że znana agencja poszukuje statystów. Zgłosiłem się tam w nadziei nie na stałą pracę, ale na możliwość chociaż sporadycznego zarobienia jakichś pieniędzy. Branża filmowa rosła w siłę dzięki pieniądзом pompowanym w nią przez Polski Instytut Sztuki Filmowej. Filmy kręcono na potęgę więc liczyłem, że dzięki swojej przeciętności znajdę zatrudnienie jako element trzeciego planu w jakim polskim filmie

lub serialu. Było jednak marnie. Byłem za przeciętny. Nawet ubrany w strój z powstania warszawskiego wyglądałem tak przeciętnie, że organizatorzy castingów wybierali mnie rzadko.

Czas mijał, pieniądze topniały, świętowaliśmy dziesięciolecie wejścia do Unii, filmy kręcono, że aż furczało a ja ciągle wysyłałem CV i poniewierałem się gdzieś na obrzeżach biznesu castingowego. Siedząc i przeliczając po raz kolejny nędzne resztki które pozostały z naszych odpraw doszliśmy do wniosku, że ostatnim środkiem ratunku przed katastrofą ekonomiczną jest albo zbiorowe samobójstwo albo prostytutka. prostytutka odpadła, bo kto by chciał płacić za seks z kimś przeciętnym? Może Zosia miałaby jeszcze jakieś szanse, ale ja na pewno nie. Szybka kwerenda w internecie (jeszcze nam nie odcięli dostępu, mimo że zalegaliśmy z opłatami za trzy miesiące) pokazała, że z przeciętnym wyposażeniem i wyglądem nie przebiję się z ofertą.

I tu nastąpił ten błogosławiony zbieg okoliczności. Zadzwonili z agencji, że potrzebują statystów do pewnej niezłe płatnej pracy. Byli bardzo tajemniczy, a ja nie miałem wyboru i wskoczyłem w to w ciemno. Miałem się zameldować o godzinie siedemnastej, elegancko ubrany, w pewnym małym kinie w centrum miasta. Wyciągnąłem z szafy swój garnitur, którego już od roku nie miałem na sobie. Zosia zacerowała drobne dziurki po molach w nogawkach spodni, odprasowała go i dobrała krawat wybierając z tych trzech, które miałem na stanie. Buty wyczyściłem sam.

Byłem pół godziny przed czasem, bo takie miałem połączenie autobusowe. Spotkałem tam już trzech podobnie do mnie przeciętnie wyglądających panów w różnym wieku. Oni też byli z agencji i też nie wiedzieli w jakim celu ich tutaj zaproszono. Do godziny siedemnastej mała salka wypełniła się tłumem elegancko ubranych kobiet i mężczyzn z których nikt, tak jak ja, nie znał powodu dla którego tu się znaleźliśmy. Mimo eleganckich ubiorów wszyscy wyglądali przeciętnie. Nie wiem dlaczego, ale poczułem się dobrze w ich towarzystwie. Bez względu na to co się miało wydarzyć w najbliższej przyszłości.

Punkt siedemnasta do sali wparował młody przedstawiciel agencji, rozdał nam wszystkim druki zleceń, pokazał co należy wypełnić. Stawka standardowa - 150 złotych za dzień. Podczas wypełniania formularzy zapanowała cisza. Nikt nie pytał w jakim to rodzaju filmu weźmiemy udział. Najważniejsza była suma widniejąca na umowie. Gdy młody człowiek zebrał od wszystkich podpisane umowy zaczęły się pytania. Młody człowiek odchrząknął i powiedział donośnym głosem.

- Proszę państwa. Proszę o ciszę. Wyjaśnię teraz państwu, co będziecie robić.

Na sali zapanowała cisza.

- Otóż o godzinie osiemnastej w sąsiednim kinie odbędzie się pokaz filmu dokumentalnego nakręconego za pieniądze Unii Europejskiej i naszego rządu przez znaną dziennikarkę telewizji TNT, panią Anastazję Gryń-Fraćkiewicz. Pokaz organizowany jest dla prezydenta naszego kraju i relacja z całej uroczystości pojawi się na antenie telewizji TNT na żywo. Na pokaz zaproszeni zostali wysocy urzędnicy państwowi, luminarze świata kultury oraz znane medialnie postacie.

- No dobra. Pokaz pokazem, ale co my mamy z tym wspólnego? - odezwała się dość napastliwym tonem przysadzista i korpulentna kobieta w wieku średnim-plus ubrana w czarną suknię. - Ja wietrzę tu jakiś szwindel.

Młodzieniec odczekał chwile i kontynuował starając się nie zwracać uwagi na otłuszczone kolana figlarnie wyskakujące z rozcięć jej wieczorowej kreacji.

- Sala kinowa ma dwieście pięćdziesiąt miejsc. Wysłano trzysta pięćdziesiąt zaproszeń. Organizatorzy, czyli telewizja TNT, kancelaria prezydenta oraz PISF chcą mieć pewność, że sala będzie wypełniona w całości. I tu wkraczacie wy. Pięć minut przed rozpoczęciem imprezy otrzymacie ode mnie sygnał i pędziutko zajmiecie wszystkie ewentualnie wolne miejsca. Wynagrodzenie otrzymają wszyscy, bez względu na to czy będą brać udział w uroczystości, czy pozostaną w tej sali. Musicie zrobić to szybko i sprawnie, tak żeby Prezydent wchodząc do sali niczego nie zauważył. Rozumiecie państwo, dyskrecja przede wszystkim.

- A co my tam mamy robić, na tej sali?

- Nic. Bić brawo tak jak inni, uśmiechać się i udawać zadowolonych przeciętnych mieszkańców którzy w ramach swojego wolnego czasu zdecydowali się obejrzeć film pani Anastazji Gryń-Fraćkiewicz o rozwoju rynku mięsnego w Polsce po wejściu do Unii Europejskiej. Po seansie zapraszam wszystkich państwa na gratisowy bankiet. Tylko proszę nie udzielać żadnych wywiadów. - Słowo "bankiet" zamknęło usta wszystkim chętnym do zadawania kolejnych pytań. - Proszę teraz cierpliwie czekać na mój znak. W holu kina jest woda mineralna i paluszki.

To rzekłszy młody człowiek zniknął jak duch. Zacząłem się zastanawiać nad tym, czy ten rodzaj pracy aby nie odbiera mi godności, lecz moja godność z powodu niezapłaconych rachunków była już tak mała, że nie poczułbym nic gdybym nawet ją stracił. Poszedłem zjeść trochę paluszków, żeby mi nie zaczęło burczeć w brzuchu. Obiadu dzisiaj nie jadłem.

Impreza skończyła się sukcesem. W sali wylądowaliśmy wszyscy. Ja siedziałem koło wiceministra kultury i biłem brawa najgłośniej jak umiałem. Zainicjowałem nawet *standing ovation*. Musiałem być niezły, bo za mną wstali wszyscy, włącznie z Prezydentem. Dawno nie jadłem tak dobrych rzeczy jak na tym bankiecie. Zaczepiło mnie kilku dziennikarzy z prośbą o moją opinię na temat pokazanego filmu, ale zgodnie z instrukcją młodego przedstawiciela agencji odmówiłem. Zresztą co ja mógłbym powiedzieć na temat filmu na którym przez godzinę i dwadzieścia minut wszyscy oglądaliśmy krowy i świnie w różnych stadiach życia i śmierci.

Do dziś wszystko mam w pamięci. To ten dzień zdecydował, że jestem tu gdzie teraz. Zawsze lubiłem cygara i teraz stać mnie na te najlepsze, kubańskie. Lubię też dobrą, irlandzką whisky. Mimo, że firma rozwija się w tempie ekspresowym najbliższe dni spowodują, że z człowieka zamożnego stanę się bogatym. Zosia nie pracuje, zajmuje się domem. Zdecydowaliśmy się też na trzecie dziecko.

Zaczytałem skromnie. Na początku była nas dziesiątka. Teraz zatrudniam dwa i pół tysiąca osób. Unowocześniłem biznes. W swoich szeregach mam profesorów, artystów którzy są w stanie nie tylko zapełnić coraz większą ilość pustych miejsc na okolicznościowych imprezach ale również potrafią brać udział w dyskusji z twórcami i udzielać wywiadów dla mediów. Rynek się zmienia, a my razem z nim.

Już wielokrotnie współpracowałem z tym ministerstwem. Mam wiele listów pochwalnych. W ciągu czterech lat moja agencja przejęła cały rynek statystów imprez okolicznościowych. A rynek jest cały czas wzrostowy. Coraz więcej akademii, uroczystych premier filmów, które robione za olbrzymie pieniądze kończą swój żywot w końcówkach Box Office lub na projekcjach w telewizjach różnorakich, zazwyczaj po północy. Dzięki mojej agencji organizatorzy i twórcy mogą gratulować sobie sukcesów a zdjęcia i relacje z imprez pozwalają dalej zdobywać publiczne fundusze na podobne dzieła.

Z gabinetu wychodzi minister i wita mnie serdecznie. Znamy się. Niejedną imprezę razem zrobiliśmy. Podchodzimy do biurka. Wyciągam wieczne pióro i składam podpis. Potem on. Nie ma fotoreporterów, bo oni nie muszą o tym wiedzieć. Nie muszą wiedzieć, że właśnie podpisaliśmy umowę na wyłączną obsługę wszystkich imprez organizowanych przez Ministerstwo Kultury. Jutro mam spotkanie w Gabinetie Premiera a pojutrze w Kancelarii Prezydenta.

KONIEC